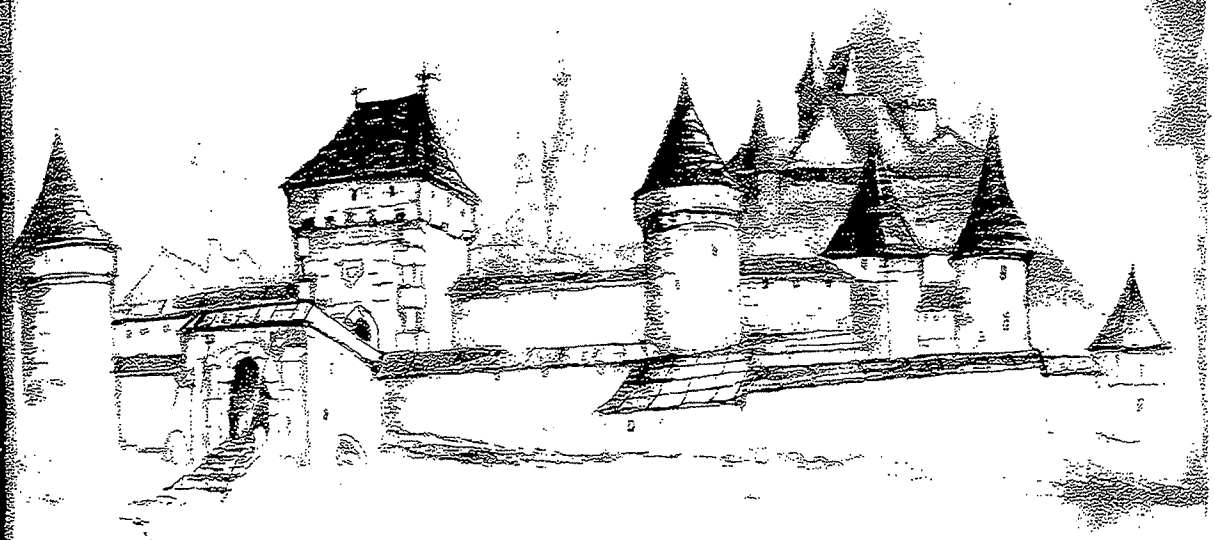

LEGENDY STAREGO KRAKOWA

JAN ADAMCZEWSKI

JAN ADAMCZEWSKI
LEGENDY STAREGO KRAKOWA

W życiu niemal każdego człowieka naukę historii poprzedza poznanie legend, baśni i mitów.

Te opowieści o dawnych, bardzo dawnych czasach, przekazywane z pokolenia na pokolenie, często barwne i wesołe, czasem groźne i ponure — dopowiadają to, co było, a czego nie zapisali na kartach swych kronik historycy, lub opowiadają o tym, czego nie było, a co tylko mogło się zdarzyć. W każdej legendzie jest trochę prawdy, a każdej prawdzie uroku dodaje nieco nieprawdy, fantazji, zmyślenia. Bo przecież „legenda jest siostrą historii...".

Miejscem, które sobie szczególnie upodobały legendy, jest prastary, piękny Kraków.

Posłuchajcie: było tak...

O SMOKU WAWELSKIM I MĄDRYM SZEWCZYKU

Największa polska rzeka — Wisła — wypływa z gór wartkim strumieniem, a gdy wydostanie się na równiny, staje się coraz szersza, spokojniejsza, coraz bardziej dostojna. Już prawie dorosła dociera do Krakowa. Tu opływa białe, wapienne wzgórze, Wawelem zwane, a na nim zamek wspaniały — siedzibę polskich królów.

Przed wielu, wielu wiekami na zamku wawelskim żył król Krak. Wokół zamku rosło i rozwijało się miasto, ludzie żyli tu pracowicie i dostatnio, a Krak cieszył się miłością i szacunkiem swoich poddanych. I życie biegłoby sobie nadal spokojnie gdyby nie wielkie nieszczęście, jakie spadło na miasto. Otóż w jednej z jaskiń pod wawelskim wzgórzem — a pełno ich tam było — zagnieździł się smok ogromny i straszliwy. Może był to tyranozaur, który obudził się w głębi wawelskiej jaskini po trwającej tysiące lat drzemce? Miał wielką paszczę z ostrymi zębami, z której buchała jadowita para i ogień. Jego cztery ogromne łapy miały potężne pazury, a gdy uderzał o ziemię ogonem to tak dudniło, że domy w mieście się trzęsły. Smok wypijał wodę z Wisły, pożerał owce i krowy, porywał nawet młode dziewczęta. Trwoga padła na miasto. Dzieci nie wychodziły z domów, dorośli drżeli ze strachu, życie w mieście zamarło.

Król Krak zwołał do siebie mędrców i prosił:

— Poradźcie, uczeni mężowie, co robić, aby ocalić miasto i mój lud ukochany? Jak zgładzić groźnego smoka?

Wezwał też najmężniejszych rycerzy i obiecał im:

— Który z was, wspaniali rycerze, stanie do walki z potworem i zabije go, dostanie ode mnie w nagrodę królewnę za żonę, największy skarb jaki mam, moją córkę.

Na nic się jednak to wszystko zdało. Uczeni mężowie nie znali sposobu na zgładzenie smoka. A rycerze najdzielniejsi z dzielnych nie mieli dość odwagi, by stanąć do walki ze smokiem. Potwór więc nadal nie dawał miastu spokoju, siał trwogę i przerażenie i nikt już nie czuł się bezpieczny w królestwie Kraka.

I gdy już się wydawało, że nie ma żadnego ratunku — zgłosił się do króla młody krakowski szewczyk Skuba i powiedział:

— Królu mój i panie, wiem jak zgładzić smoka, ale potrzebne mi są do tego skóry owcze i dużo siarki.

Król zdziwił się, ale i ucieszył niezmiernie, uścisnął szewczyka i kazał dostarczyć wszystko, czego Skuba zażądał. Słudzy królewscy szybko przynieśli kilka skór owczych oraz wielki wór pełen siarki. Szewczyk zgrabnie zeszył skóry i nadział siarką, że wyglądały jak wielka owca. Cały dwór królewski przyglądał się tej robocie, podziwiając zręczność młodzieńca. A gdy szewczyk skończył pracę, zrzucił tę ogromną, dziwną owcę z zamkowych murów, prosto pod smoczą jamę.

Smok wyskoczył z pieczary i natychmiast pożarł owcę. Nie upłynęło wiele czasu, gdy ryk groźny i potężny wstrząsnął zamkiem i miastem. Ogień rozgorzał w brzuchu bestii. Ziejąc ogniem potwór rzucił się do Wisły i pił, pił, pił, by ugasić pożar, który palił mu wnętrzności. Tak długo pił, aż pękł. Taki był koniec smoka gnębiącego mieszkańców grodu. Wszyscy cieszyli się i płakali z radości. A król Krak rzekł:

— Szewczyku mądry i dzielny, oto nagroda dla ciebie — córka moja, królewna, będzie twoją żoną.

Ucieszył się szewczyk bardzo, a i królewna była szczęśliwa, bo któraż dziewczyna nie chciałaby mieć męża tak mądrego i odważnego?!

Na wawelskim zamku odbyło się huczne wesele, a wraz z królem Krakiem i młodą parą radowali się wszyscy.

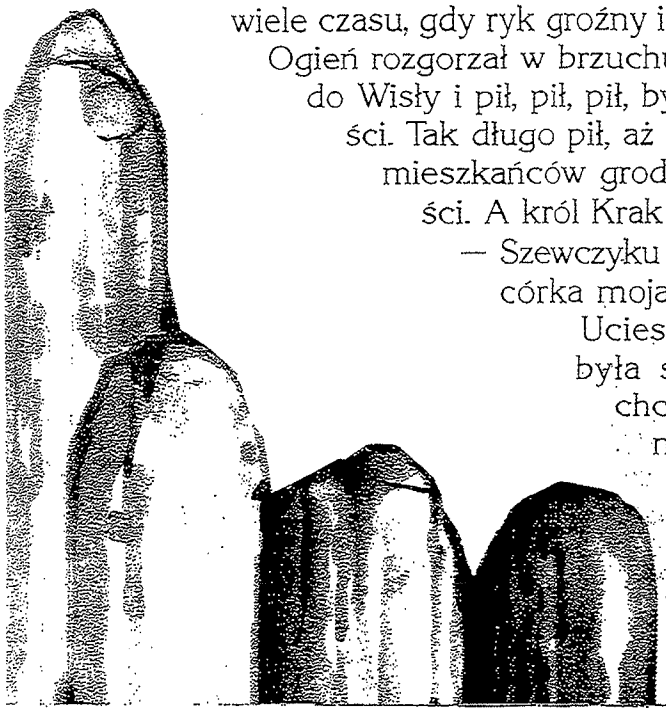

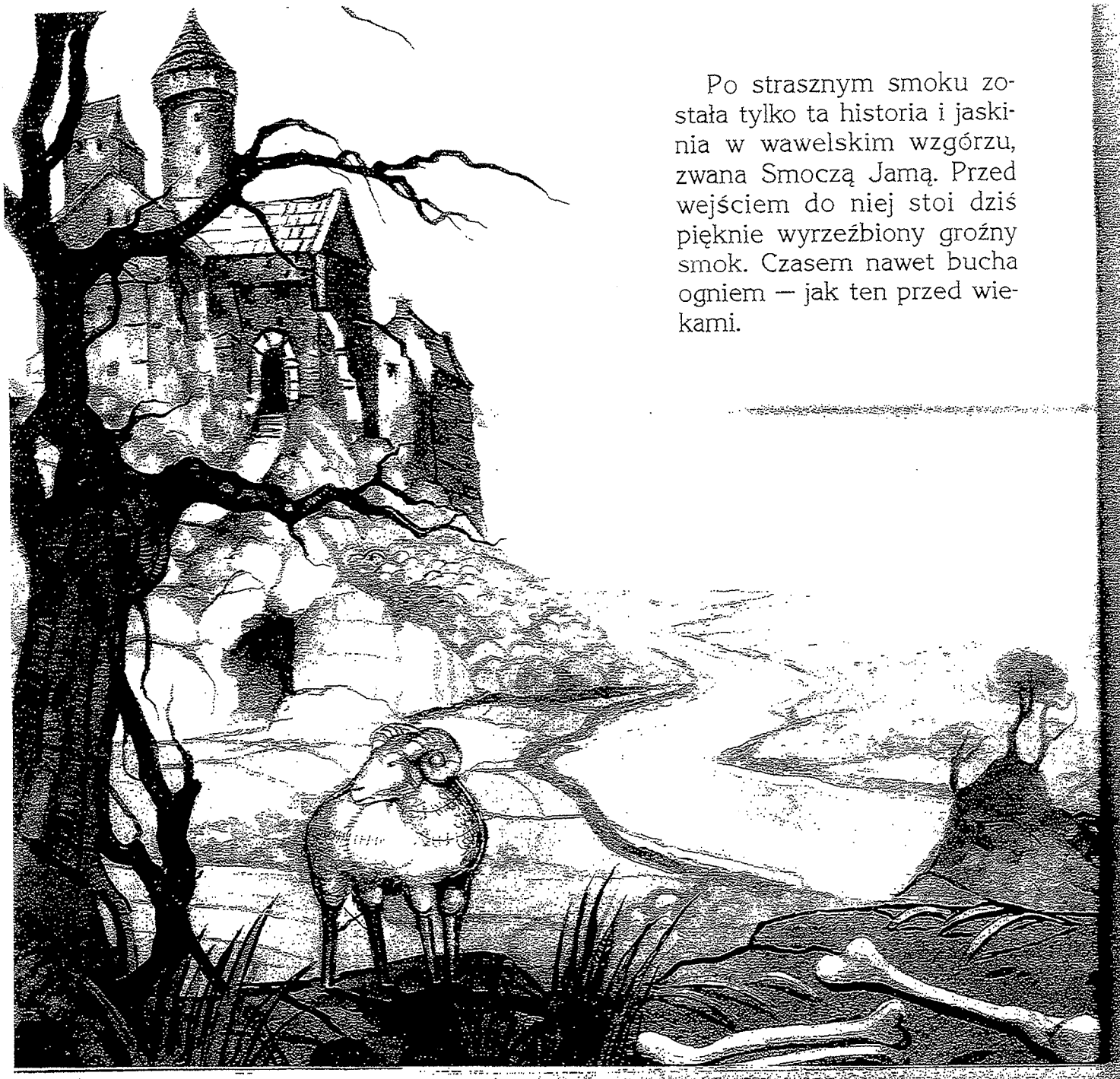

Po strasznym smoku została tylko ta historia i jaskinia w wawelskim wzgórzu, zwana Smoczą Jamą. Przed wejściem do niej stoi dziś pięknie wyrzeźbiony groźny smok. Czasem nawet bucha ogniem — jak ten przed wiekami.

O KOPCU KRAKUSA I RĘKAWCE

Po wielu latach panowania zmarł wielki i dobry król Krak, zwany też Krakusem, który u stóp wawelskiego wzgórza założył miasto Kraków. A panował Krak po wygaśnięciu rodu Lecha i był pierwszym polskim władcą.

Lud okrył się żałobą po ukochanym władcy i wyprawił mu wspaniały pogrzeb.

Naprzeciwko Wawelu, po drugiej stronie Wisły, wznoszą się skałki, zwane Krzemionkami. Tam właśnie, na wzgórzu Lasoty, postanowiono pochować króla Kraka. Gdy przyszło do sypania mogiły, kto żyw nosił ziemię. A noszono ją, jak kto mógł: koszami, w cholewach butów, a najczęściej w rękawach, szytych według starej mody — obfitych, szerokich, bufiastych. Kopiec rósł coraz wyżej i wyżej, aż stanęła wysoka, górująca nad miastem mogiła — kopiec Krakusa.

Każdej wiosny krakowianie udawali się na kopiec, by zabawą i biesiadą uczcić pamięć króla. A działo się tak na pamiątkę uczty wydanej po pogrzebie Kraka, gdy goszczono wszystkich, którzy przybyli

pożegnać dobrego króla. W czasie zabawy starsi zrzucali z góry gotowane jajka, szewskie placki, obwarzanki, bułki, jabłka, pierniki — wprost w ręce stojących na dole żaków i ubogiej gawiedzi.

Ten stary zwyczaj, upamiętniający legendę o dobrym królu i sypaniu kopca Krakusa, nazywa się Rękawką.

I do dziś, zawsze w dzień po świętach Wielkiejnocy, udają się Krakowianie na wzgórze Lasoty, gdzie — jak przed wiekami — odbywa się festyn ludowy, a po stokach wzgórza toczą się pierniki i jabłka, wprost w ręce czekających na dole dzieci.

O PIĘKNEJ I DZIELNEJ KRÓLEWNIE WANDZIE

Po śmierci króla Kraka władzę nad królestwem oddano jednej z jego córek — królewnie Wandzie. Mówiono, że duch męski mieszka w tej niewieście — rządziła roztropnie i sprawiedliwie. Była to też panna niezwykłej urody. Wieści o jej wdzięku, dzielności i mądrości rozchodziły się daleko i szeroko. Dotarły także do księcia niemieckiego Rydygiera, który postanowił poślubić Wandę i zawładnąć jej królestwem. Wysłał więc do Krakowa posłów z prośbą o rękę polskiej królewny. Posłowie nie ukrywali, że w razie odmowy, Wandę i jej poddanych spotka straszliwa zemsta Rydygiera.

Wanda jednak nie chciała poślubić niemieckiego księcia, który łatwo prośbę w groźbę zamienia i jej — wolnej pani wolnego królestwa — siłą chce swą wolę narzucić. Odmówiła więc Rydygierowi swej ręki.

Rydygier zebrał liczne wojska i wkroczył w granice polskiego królestwa. Królewna Wanda nie ulękła się: zgromadziła szybko zbrojnych i stanęła na ich czele na polu bitwy. Już po pierwszych potyczkach szala zwycięstwa zaczęła przechylać się na stronę polskiego rycerstwa. Wtedy wielu rycerzy niemieckich opuściło Rydygiera i uciekło z pola bitwy. Książę Rydygier — widząc swą klęską — przebił się mieczem. Wanda zaś ze swym wojskiem w triumfie wróciła do Krakowa.

Wszyscy cieszyli się z tego wspaniałego zwycięstwa, tylko królewna była smutna. Wróciła nie po to, by dalej żyć i panować. Uznała bowiem, że za tak szczęśliwe zrządzenie losu należy się bogom ofiara dziękczynna. I właśnie swoje młode życie postanowiła złożyć bogom w podzięce. Z orszakiem dostojników i kapłanów poszła nad Wisłę i rzuciła się w jej święte fale. Wieniec z kwiatów, który ozdabiał jej głowę, jeszcze długo kołysał się na wodzie, unoszony coraz dalej i dalej...

W miejscu gdzie Wanda złożyła siebie w ofierze lud usypał wśród pól — podobnie jak jej ojcu, Krakowi — wysoką mogiłę, a miejsce to i pobliska wieś nazywa się do dziś Mogiła. Na szczycie mogilnego kopca przysiadł orzeł — spogląda w stronę Wisły, strzeże mogiły dzielnej królewny.

Po wielu wiekach wokół mogiły wyrosła wielka huta i — gdy wytapia się tam żelazo — łuna ognia oświetla kopiec Wandy, Wisłę i stary Kraków.

O PODZIEMNYM ZAMKU NA WAWELU I O ŚPIĄCYCH RYCERZACH

Jest na Wawelu wspaniały zamek królewski, który możemy zwiedzać i oglądać. Ale jest i drugi, podziemny zamek, do którego tajne wejście mieści się gdzieś w Kurzej Stopce. Nikt jednak tego wejścia nie zna. Ten drugi, podziemny zamek królów polskich jest ukryty głęboko, w białych skałach wawelskiego wzgórza. I mimo że leży głęboko pod ziemią jest jasny, strojny, wspaniały.

Znajduje się tam wielka sala, a w niej dużo zbroi, tarcz, chorągwi. Na środku sali — stół okrągły, a wokół niego siedzą wszyscy polscy królowie w szatach koronacyjnych. Tylko raz w roku — ale nikt nie wie, kiedy to nastąpi — o północy, gdy ktoś przypadkiem znajdzie się w pobliżu wawelskiego wzgórza, usłyszeć można głos trąb, rżenie koni i wrzawę. Wtedy to właśnie król Bolesław, zwany Chrobrym, wychodzi z podziemnego zamku i w żelaznej zbroi spaceruje po krużgankach Wawelu. W rękach Chrobrego błyszczy Szczerbiec — miecz koronacyjny królów polskich. Na dziedzińcu zamkowym strzegą króla rycerze na koniach. Zobaczyć króla mogą jednak tylko ci, którzy sumienie mają czyste i zasłużyli się ojczyźnie walką lub pracą. A gdy zobaczą króla Bolesława Chrobrego duch w nich rośnie, a na sercu robi się radośnie i lekko. Natomiast człowiek zły nie tylko nic nie usłyszy i nie zobaczy, ale poczuje dziwną grozę i trwogę w sercu.

Choć zamek na Wawelu nie jest już dziś rezydencją królewską — lecz wielkim wspaniałym muzeum — polscy królowie są tu zawsze i czuwają nad naszym krajem i nad nami. Nie wszyscy najdzielniejsi rycerze z pocztu Chrobrego przebywają w podziemnym zamku na Wawelu. Znaczna ich część czuwa nad bezpieczeństwem narodu i państwa w Tatrach — to sławni śpiący rycerze. Spoczywają oni uśpieni w wielkiej jaskini pod Giewontem. I choć śpią — to jednak czuwają. Przebudzą się, gdy naród polski znajdzie się w śmiertelnym niebezpieczeństwie.

O CZARNEJ DAMIE

Na Krzemionkach, tam gdzie wznosi się kopiec Krakusa, jest też wzgórze nazywane „Na Zbóju". Ta dziwna nazwa, kryjąca w sobie coś tajemniczego i groźnego, wzięła się stąd, że zawsze było tu pełno przeróżnych rozbójników. Wiódł bowiem tędy szlak handlowy z Węgier do Krakowa. Bogaci kupcy wozili w obie strony cenne towary, które często padały łupem rabusiów, przyczajonych na wzgórzu. Stała tu ponura karczma, w której zbójcy zbierali się, jedli, pili i niecnie się zabawiali.

Żyła w tej okolicy piękna księżniczka. Miała wspaniały dwór, piękne ogrody, liczną służbę, szkatuły pełne klejnotów, naczynia ze szczerego złota. Jednym słowem wszystko miała najlepsze — oprócz... serca. Bo serce miała złe i przewrotne.
Mało jej było własnych skarbów. Wszystko, co w pocie czoła zarobili okoliczni chłopi, zabierała bezwzględna i chciwa księżniczka — potrafiła odebrać ostatni grosz. I choć życie upływało jej w dostatku, nie mogło przecież trwać wiecznie. Pewnej nocy niebo pokryło się czarnymi chmurami, zagrzmiały pioruny i rozszalała się burza. W taką pełną grozy noc zmarła nagle zła księżniczka.

Wkrótce też zaczęły rozchodzić się wśród ludu dziwne wieści, że w opustoszałym dworze złej księżniczki straszy i dziwne jakieś rzeczy się dzieją. Zburzono więc dwór, a na jego miejscu postawiono mały kościółek. Nic to jednak nie pomogło. Każdej nocy słychać było w kościółku jakieś jęki, płacze, szlochy. Niektórzy nawet widzieli tajemniczą Czarną Damę, snującą się nocami po okolicy. Gdy dowiedział się o tym mieszkający w pobliżu pustelnik, przyszedł pewnej nocy pod kościółek i spotkał Czarną Damę, która powiedziała mu:

— Jestem księżniczką, miałam tu piękny dwór, żyłam bogato. Zostałam jednak przeklęta, bo miałam złe serce, serce z kamienia i teraz, po śmierci, cierpię niewypowiedziane męki. Moje cierpienia skończą się dopiero wówczas, gdy znajdzie się człowiek, który przez rok i sześć niedziel potrafi każdego dnia przetrwonić — ale sam jeden, bez niczyjej pomocy — po sto srebrnych talarów. Pomóż mi, ojcze pustelniku, bo inaczej cierpieć będę bez końca.

Ulitował się pustelnik nad Czarną Damą i postanowił jej pomóc. Właśnie wrócił z wojny pewien dzielny wiarus, samotny i biedny. I jego to poprosił pustelnik, aby ulżył cierpieniom Czarnej Damy. Wiarus zgodził się i odtąd codziennie spod progu kościółka zabierał kolejną sakiewkę zawierającą sto srebrnych talarów. Ucztował w najlepszych gospodach, pijał najdroższe wina, jadał pasztety z języków słowiczych, drogie owoce z najdalszych krajów i najróżniejsze inne smakołyki. Tak przetrwał cały długi rok i sześć niedziel w smutku wielkim, bo nie cieszy biesiada w samotności, bez przyjaciół.

Ostatniego dnia, po sutej wieczerzy, wracał do domu zadowolony i wielce szczęśliwy, że jutro już będzie wolny. I wówczas napotkał na moście na Wiśle straszliwie wynędzniałego, starego, skulonego od zimnego wiatru żebraka w łachmanach. Żal mu się zrobiło nędzarza, znalazł w kieszeni ostatni grosik i dał go biedakowi. Był to jednak sam diabeł-kusiciel. W tej chwili zawył wicher, zakręcił się, porwał wiarusa i poniósł go tak daleko, że do dzisiejszego dnia nie wrócił na Krzemionki.

A księżniczka — Czarna Dama — dalej nocami pokutuje na Krzemionkach „Na Zbóju" i czeka na swojego kolejnego wybawcę.

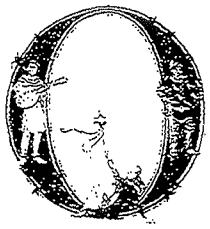

O DWÓCH WIEŻACH I DWÓCH BRACIACH

Dumą Krakowa jest wspaniała świątynia w Rynku Głównym — kościół pod wezwaniem Najświętszej Marii Panny, zwany Mariackim. Ma on dwie wieże, ale nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie to, że jedna z nich bliżej sięga nieba od drugiej. Ta wyższa to hejnalica — z niej co godzinę rozlega się hejnał mariacki. A druga, niższa, jest kościelną dzwonnicą, w której wisi wielki dzwon, zwany „Półzygmuntem". Ludzie mówią, że to Stanisław Ciołek, syn wojewody mazowieckiego, słynący z niezwykłej siły, wniósł ten dzwon na wieżę na własnych plecach.

Dlaczego jednak te dwie wieże nie są równe? Dlaczego jedna jest wyższa, a druga niższa? Otóż wieże te budowali dwaj bracia, sławni wówczas murarze. Śpieszyli się z robotą, gdyż jeden chciał być lepszy od drugiego — szybciej i wyżej wybudować swoją wieżę. I oto starszy brat wcześniej ukończył budowę.

Nie chciał jednak, by wieża młodszego brata dorównywała jego dziełu, więc chwycił za nóż i zabił brata. Ale zwycięstwo za cenę zbrodni nie daje zadowolenia. Wyrzuty sumienia nie dawały mu spokoju. W dniu poświęcenia kościoła wyznał przed zebranym na Rynku tłumem wiernych publicznie swój grzech, a potem rzucił się ze szczytu wieży.

Wieża młodszego brata została niedokończona i dlatego jest niższa. A ów nóż — jako symbol zbrodniczej zazdrości i jednocześnie jako ostrzeżenie, do czego mogą doprowadzić niezgoda i nienawiść — do dziś wisi, przykuty łańcuchem, w przejściu przez Sukiennice na krakowskim Rynku.

O HEJNALE Z MARIACKIEJ WIEŻY

Jedna z wież kościoła Mariackiego jest najwyższą wieżą w Krakowie. Na jej szczycie znajduje się widoczna z daleka złocona korona.

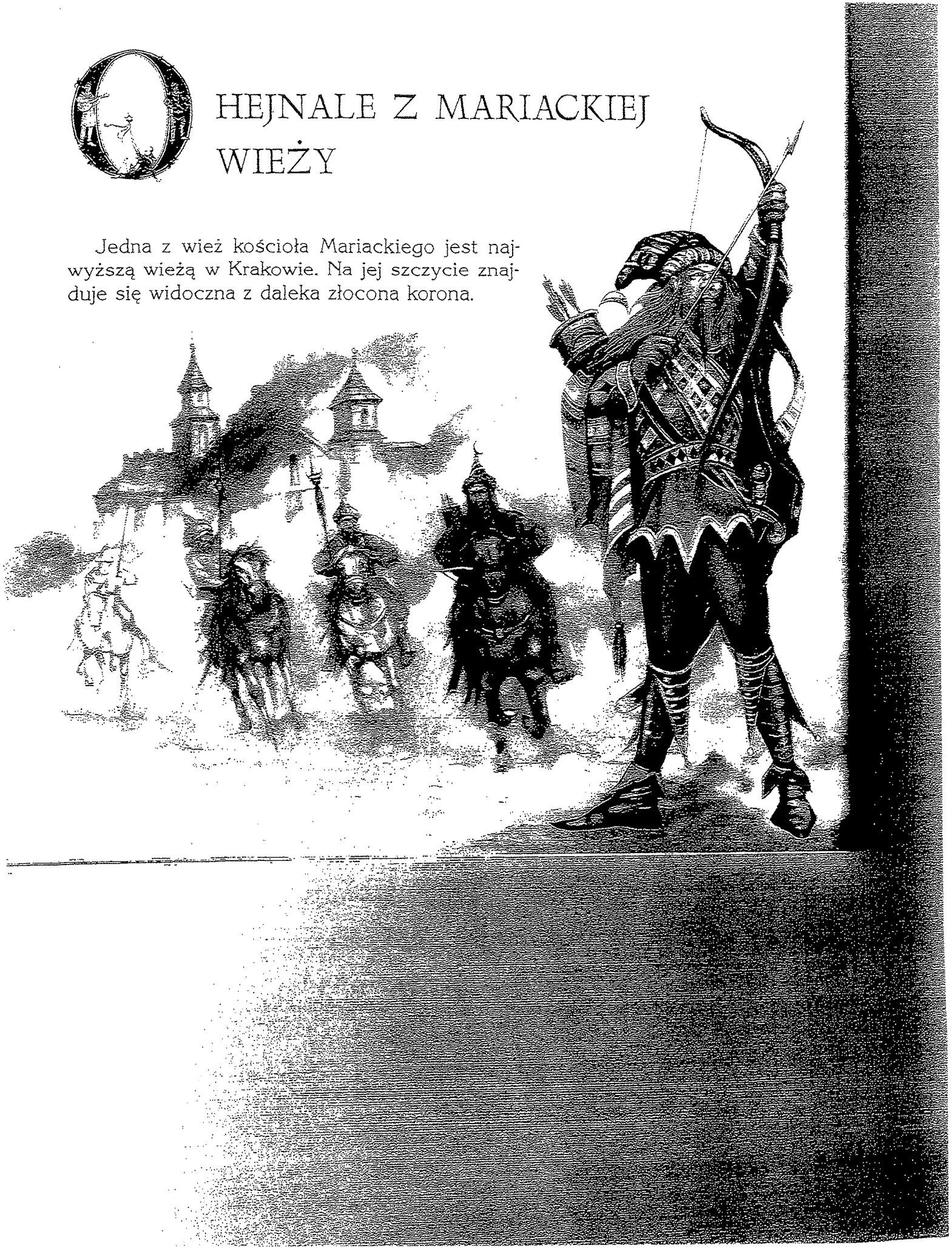

Przypominać miała podróżnym, że zbliżają się oto do stolicy królów polskich. Z tej właśnie wieży, zwanej hejnalicą, co godzinę rozlega się grany na cztery strony świata hejnał. Piękna melodia hejnału urywa się nagle, jak gdyby była niedokończona. Dlaczego? Otóż przed wieloma wiekami tatarskie ordy często napadały na polskie wsie i miasteczka. Paliły domy, rabowały mienie mieszkańców, porywały w jasyr branki i brańców. Nieraz bywało, że zapuszczały się aż pod Kraków.

Na wieży kościoła Mariackiego zawsze pełnił służbę strażnik miejski, który donośną trąbką dawał rano hasło do otwierania i wieczorem do zamykania wszystkich bram miejskich, sygnalizował zauważony pożar lub zbliżającego się wroga. Pewnego razu, gdy Tatarzy zbliżali się do miasta, niezawodny strażnik zaczął trąbić na alarm. Nagle tatarska strzała przeszyła gardło hejnalisty i melodia urwała się.

Mieszkańcy Krakowa, zaalarmowani hejnałem, zdążyli zamknąć bramy miejskie, stanąć na murach i odeprzeć najazd groźnych Tatarów. Od tego pamiętnego wydarzenia hejnał krakowski nigdy już nie był grany do końca. Jego melodia urywa się nagle, jak nagle przerwane zostało życie hejnalisty.

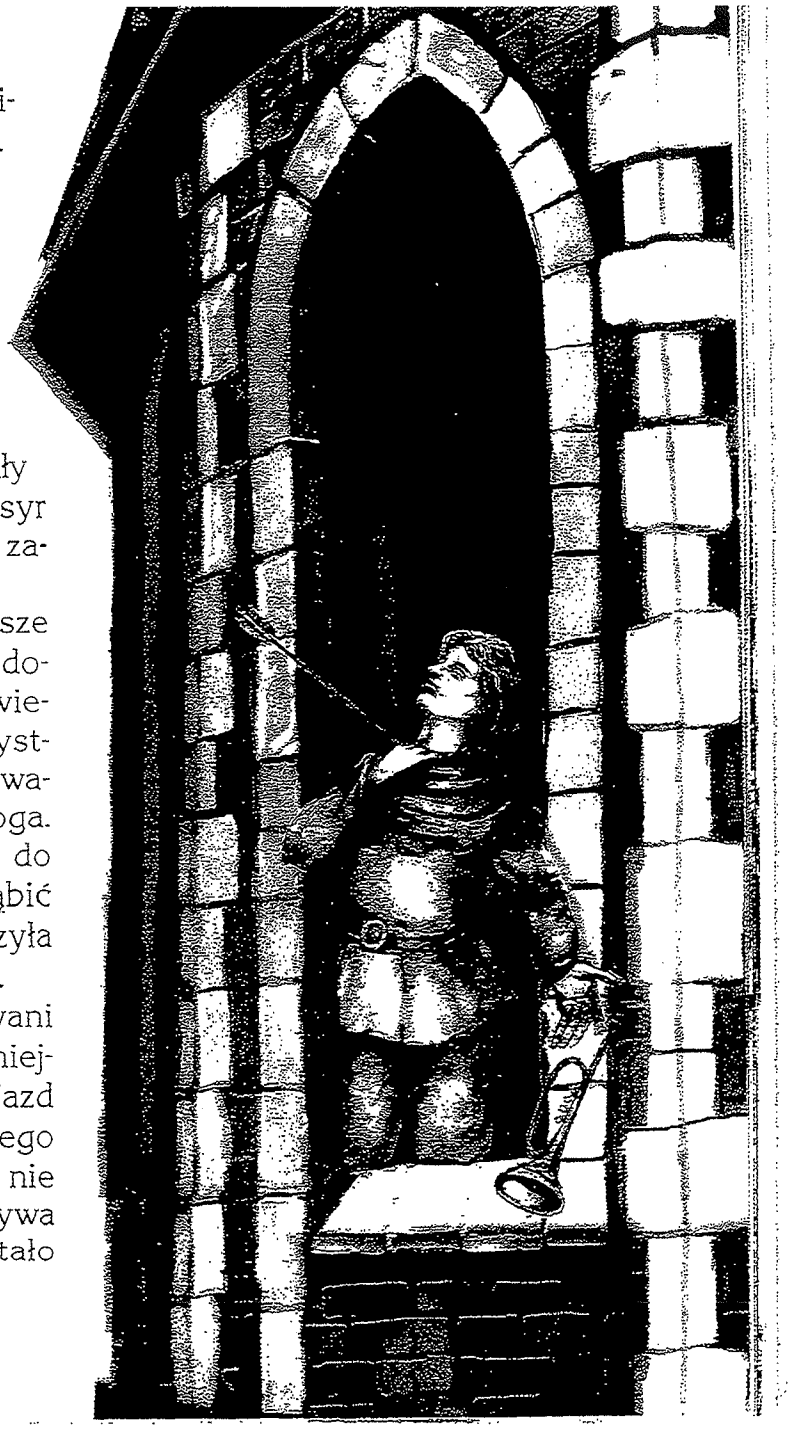

WALGIERZU UDAŁYM

Na wyniosłej skale, urywającej się prostopadłą ścianą nad Wisłą, stoi warowny klasztor Benedyktynów. Miejsce to zwie się Tyniec.

Nazwa ta znaczyła po staropolsku: mur, ogrodzenie. Może więc Tyniec wywodzi swą nazwę od warownych murów, a może od grodu. Tajemniczość okolicy, wzgórza, a także nazwy sprzyjała powstawaniu wielu legend, opowieści. Posłuchajcie więc...

Pan na Tyńcu i okolicy, wielkiej sławy i bogactwa rycerz, Walgierz Udały (albo Wdały, jak zapisali niektórzy kronikarze), pochodził z królewskiego rodu Popielidów. Jego zamek położony na wyniosłej, białej skale, opływany przez Wisłę, otoczony murami, basztami i urwistymi skałami był niedostępny. Król na zamku wawelskim mógł spać spokojnie, gdyż bez zgody Walgierza, który strzegł drogi prowadzącej na Wawel, nikt Wisłą nie mógł się do Krakowa dostać.

Jak to wtedy było w zwyczaju Walgierz Udały, mimo że władał piękną twierdzą i rozległymi ziemiami, często wędrował po świecie, brał udział w rycerskich turniejach, walczył w wielu bitwach. W dalekiej Frankonii poznał piękną królewnę Helgundę. Wiele wieczorów i letnich nocy spędził pod jej oknami, grając na lutni i śpiewając słodkie pieśni. Aż wreszcie, gdy stoczył zwycięski pojedynek z zakochanym w niej królewiczem almańskim — Helgunda oddała mu swe serce i razem wrócili do Tyńca.

Pod nieobecność Walgierza wiele zmieniło się na ziemiach, którymi władał. Podległy mu — władający Wiślicą — Wiesław, korzystając z nieobecności Walgierza, sprawował okrutne rządy, łamiąc prawa i bezlitośnie wykorzystując tynieckich poddanych.

Walgierz Udały wysłał zbrojną drużynę do Wiślicy, kazał pojmać Wiesława i przywieźć do Tyńca, gdzie uwięził go w lochu pod basztą.

I znów ruszył Walgierz na wyprawę wojenną. Helgunda spokojnie czekała na powrót męża, ale gdy wszyscy z wyprawy wrócili, a o nim wieści nie było, zaczęła się użalać nad sobą. Zaufana dwórka przypomniała jej wtedy o uwięzionym w lochu Wiesławie. Oczarowana jego urodą Helgunda uwolniła Wiesława i razem uciekli do zamku w Wiślicy.

Tymczasem wrócił Walgierz Udały. Niewierna Helgunda zaczęła rozgłaszać wokół, że to Wiesław ją porwał. Walgierz uwierzył i udał się do Wiślicy, by uwolnić Helgundę. Wpadł jednak w zasadzkę przygotowaną przez Wiesława i swą niewierną żonę. Uwięził Wiesław Walgierza w lochu i przykuł łańcuchami do ściany, a na straży postawił swą siostrę. Walgierzowi udało się pozyskać względy strażniczki, która uwolniła go i podarowała mu miecz. Gdy nastała noc Walgierz dokonał zemsty na Wiesławie i niewiernej Helgundzie. Wrócił potem do Tyńca, ale już odmieniony — nigdy więcej nie pokochał żadnej niewiasty, zaprzestał wędrówek po świecie, żył samotnie. Poddani nie nazywali go już Udałym, lecz Walgierzem Samotnym.

O KAZIMIERZU ZWANYM KRÓLEM CHŁOPÓW

Tak jak król Władysław Łokietek był ukochanym przez cały lud monarchą i tylko dzięki temu mógł w grotach Ojcowa przeżyć ciężkie chwile i zwycięsko powrócić do Krakowa, tak i jego syn — król Kazimierz Wielki — był władcą kochającym swych ubogich poddanych i przez nich kochanym. Nieraz schodził ze swego królewskiego tronu i szedł pod strzechy do prostych wieśniaków, by poznać lud i jego potrzeby.

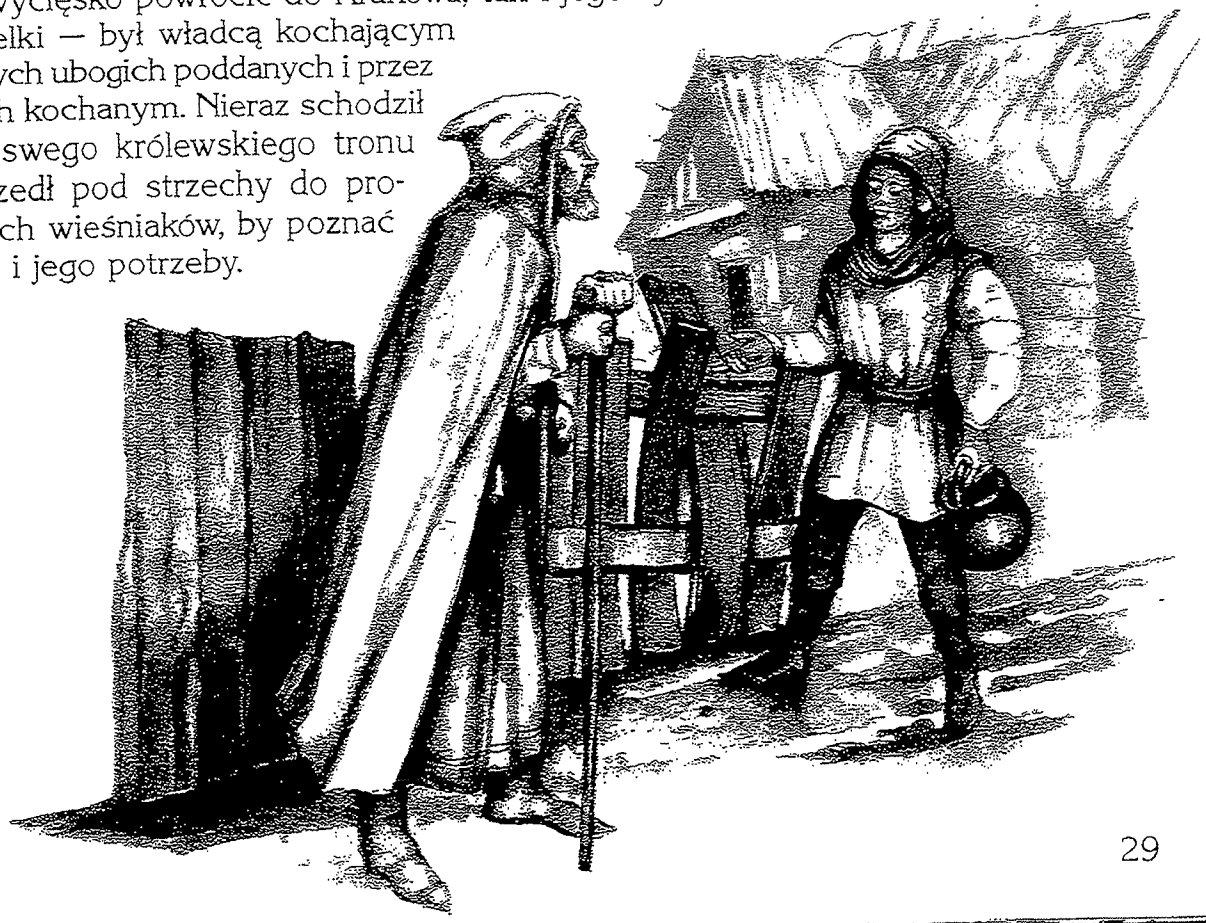

A w te odwiedziny nie wybierał się w otoczeniu rycerzy, dworzan, biskupów. Wychodził z zamku tajnym wyjściem, przebrany w strój ubogiego wędrowca, i nikt by w nim nie rozpoznał wielkiego monarchy.

Pewnego dnia król, wędrując w czasie wielkiej ulewy, trafił do wioski podkrakowskiej i tam poprosił bogatego ogrodnika, by pozwolił mu przeczekać deszcz. Ale ten go nie przyjął i wypędził wędrowca, by nie zabrudził domu.

Dopiero na skraju wsi ubogi chłop otworzył drzwi swej chaty i zaprosił wędrownika do środka.

— Wejdźcie i ogrzejcie się, osuszcie — powiedział. I dał mu jeszcze talerz żuru i dwie ugotowane rzepy, jako że nic więcej nie miał.

Właśnie urodził się owemu chłopu syn i ojciec martwił się, że zbyt biedny, by kogoś z sąsiadów prosić na chrzest w kumy. Gdy wędrowiec powiedział, że ma na imię Kazimierz, bardzo się to chłopu spodobało i postanowił tym imieniem nazwać swego syna. A wtedy przybysz rzekł:

— Skoro wzięliście moje imię, to i mnie weźcie na kuma. Jutro tu do was znów przyjdę.

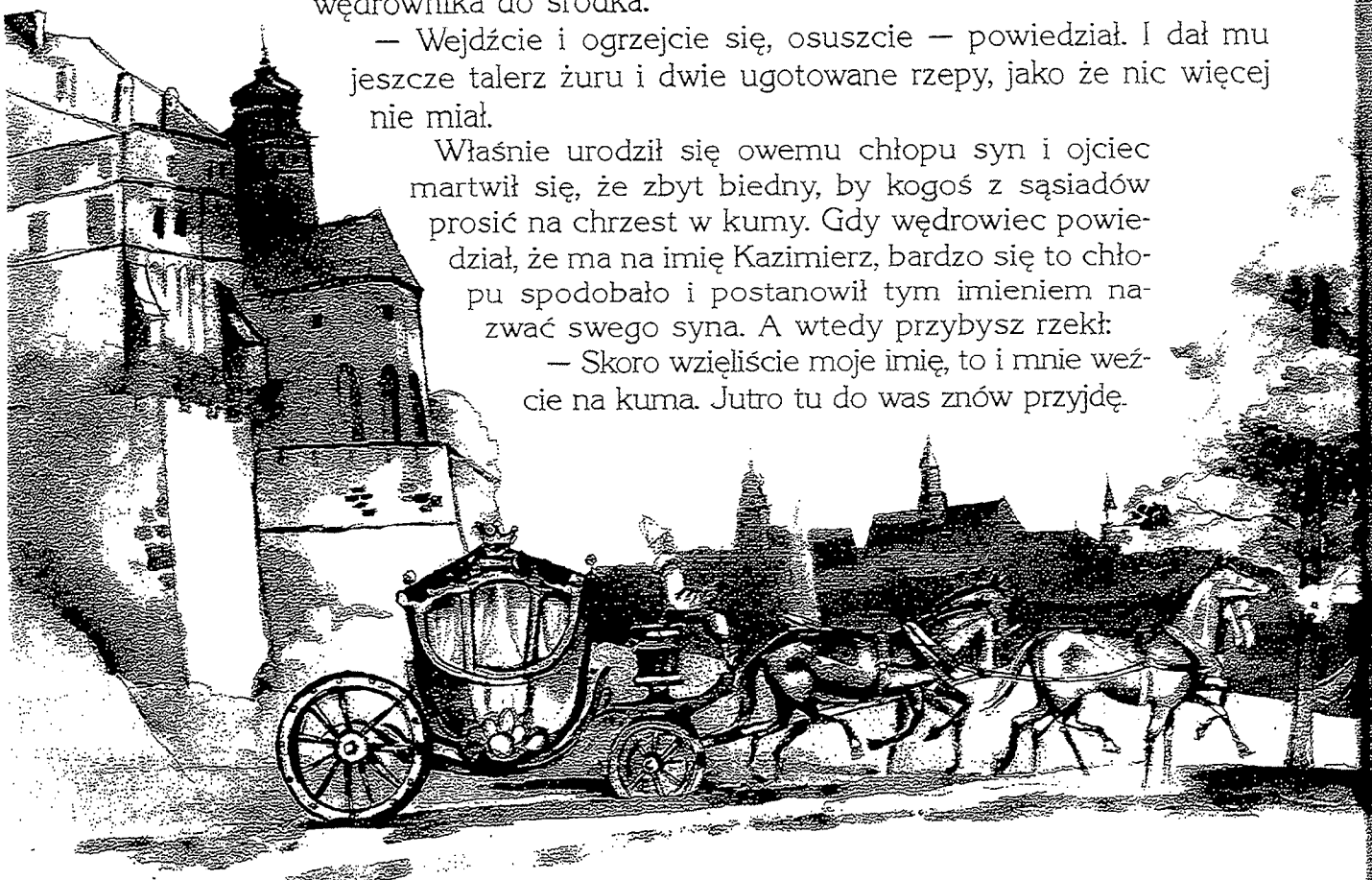

Na drugi dzień słoneczko świeciło od rana, pogoda jakby zamówiona. Drogą od Krakowa ciągnął barwny pochód: rycerze na koniach, barwne chorągwie, pozłacane karety. A w karecie? — sam król Kazimierz!

I tak biedny chłop z żoną i maleńkim Kazimierzem pojechali karetą na Wawel, gdzie w katedrze król trzymał dziecko do chrztu, a chrzcił małego sam biskup. Potem odbyła się wspaniała uczta, a mały Kazimierz miał zapewnioną przyszłość pod opieką królewskiego ojca chrzestnego.

Innym razem udał się król Kazimierz aż do Wrocławia. Po drodze zarządził popas i zadecydował:

— My tu będziem, tam czeladź, a reszta za górą.

Tak się też stało i wkrótce potem na tych ziemiach powstały trzy miasta: Będzin, Czeladź i Zagórze.

Gdy król podróżował do Wrocławia w jego ukochanej rezydencji — w Łobzowie — rządziła się królowa Rokiczana. Mało jej było parku i ogrodu, kazała jeszcze wyburzyć okoliczne chłopskie chaty, by powiększyć pałacowy ogród. Wójt Łobzowski — Bruzda — stawił królowej opór i gdy wrócił Kazimierz odwołał się do króla. A ten, który zawsze bronił ubogich chłopów, i tym razem stanął po ich stronie i nie pozwolił królowej burzyć chłopskich chat. Rozgniewała się Czeszka Rokiczana, opuściła Kraków i na zawsze wyjechała do rodzinnego kraju.

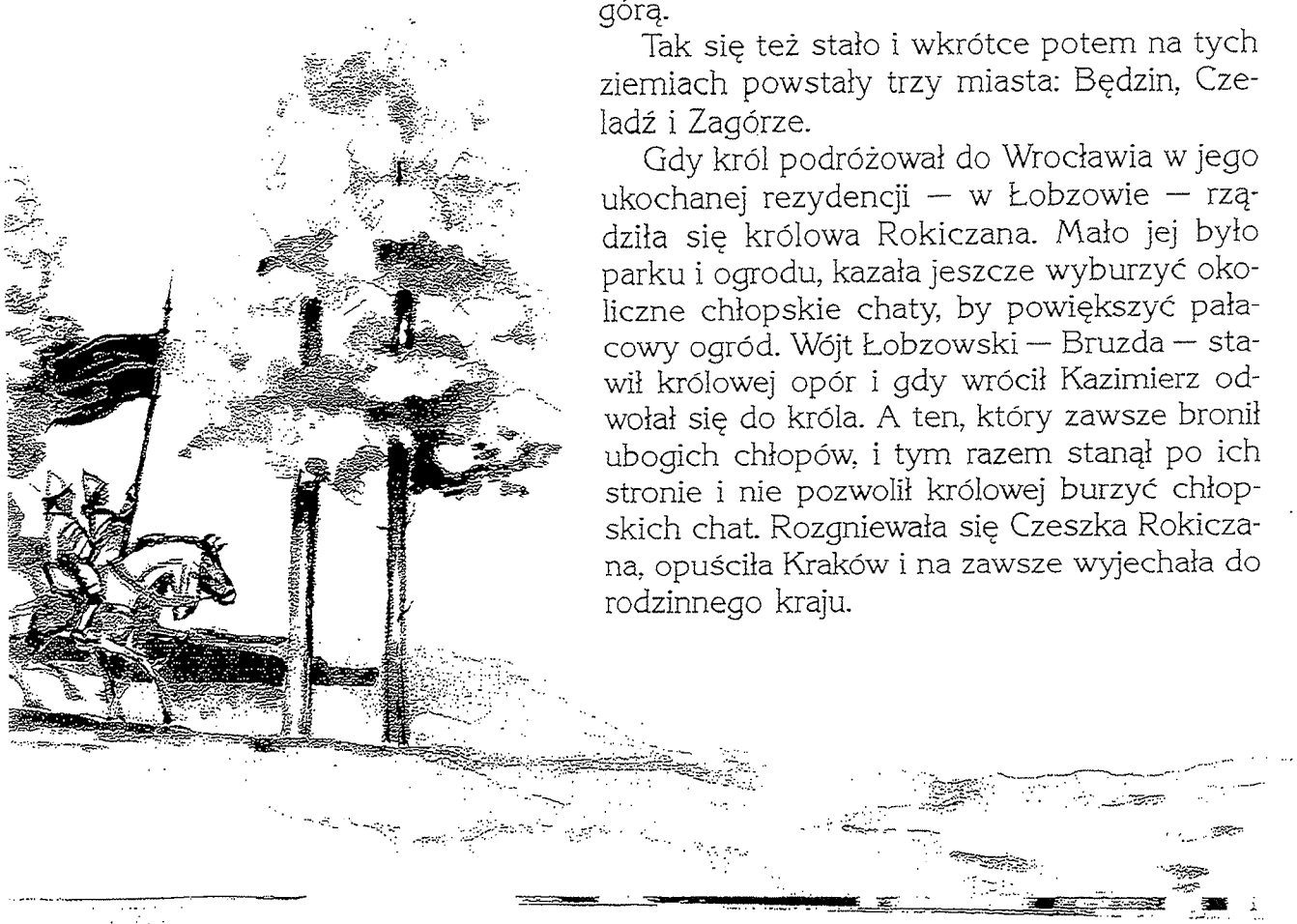

O TYNIECKIEJ STUDNI

Na dworze wawelskiego monarchy żyło dwóch przyjaciół — Jaśko Toporczyk i Staszko Nałęcz. Choć byli przyjaciółmi to dzieliły ich różnice charakterów. Jaśko był gwałtowny, potrafił z byle powodu wybuchać niepohamowanym gniewem, natomiast Staszko był jego przeciwieństwem — zawsze pogodny, uśmiechnięty, uprzejmy. Pewnego razu podczas drobnej sprzeczki gwałtownik Jaśko wyjął miecz i zabił przyjaciela.

Sąd królewski chciał Jaśka śmiercią ukarać, lecz na prośbę opata tynieckiego król wydał Jaśka klasztorowi, by tam odbył karę, jaką przypisze mu opat. Wyrok opata był następujący:

Jaśko Toporczyk będzie w litej skale, jaką jest góra tyniecka, kopał studnię tak długo, aż tryśnie z niej tyle wody, ile potrzeba klasztorowi i rycerzom w warowni. Lata całe rył Jaśko kilofem skałę, zagłębiając się w niej metr po metrze. Jedzenie posyłano mu na sznurze, a on świata bożego nie widząc kuł dzień i noc.

Pewnej nocy ukazał mu się duch zamordowanego przyjaciela Staszka Nałęcza i powiedział:

— Jaśko, przebaczam ci winę. Jutro, gdy spuszczą skrzynię, abyś załadował urobek skalny, wskocz do niej i każ się wyciągnąć.

Nazajutrz rankiem spuszczono skrzynię, wrzucił do niej Jaśko ostatni odłupany kawałek skały i ledwo sam zdążył wskoczyć do skrzyni i szarpnąć za sznur, gdy z dna trysnęła woda i szybko zapełniła całą studnię.

I studnię tę możemy do dziś oglądać.

O PANU TWARDOWSKIM, CO SIĘ Z DIABŁEM BRATAŁ

Mieszkał sobie w Krakowie pewien znany rzemieślnik, a nazywał się Twardowski. Wyjechał kiedyś za interesami w daleką podróż. Gdy wracał do Krakowa postanowił, chcąc być szybciej w domu, że pójdzie na skróty — przez bagna Żabiego Kruka, które rozciągały się między Wawelem a Wiślną Bramą. Był już blisko, gdy koń potknął się i Twardowski wpadł w sam środek bagna. Całkowite odludzie, znikąd pomocy, zaczął więc głośno wzywać ratunku. Bagnista woda podchodziła mu już do gardła, ale zdążył jeszcze krzyknąć:

— Pomocy, niech to będzie choć diabeł!

Ledwo wypowiedział te słowa, a tu na brzegu pojawił się tajemniczy nieznajomy, wyciągnął papier i powiedział:

— Pomogę, ale podpisz, że w zamian dostanę to, co zastaniesz w domu.

Twardowski zgodził się, podpisał podsunięty cyrograf, wydostał się z bagna i wrócił do domu. Na progu powitała go żona z niemowlęciem na ręku. Wtedy zrozumiał, że za ratunek sprzedał diabłu własnego syna.

Nie można było małego Twardowskiego ochrzścić, bo ile razy wybierano się do kościoła, to albo koń okulał, albo w bryczce złamała się oś, albo ulewa była tak straszna, że nie można było ani jechać, ani iść. Umyślono wreszcie z księdzem, że na diabła trzeba sposobu — matka niosła dziecko na rękach, a przed nią szedł ministrant i drogę kropił święconą wodą. Pomogło i mały Twardowski został wreszcie ochrzczony.

Gdy już dorósł, ojciec opowiedział mu, jak diabeł wyłudził jego duszę. Syn postanowił odebrać diabelski cyrograf. I znów ksiądz udzielił mu rady — dał na drogę dużo święconej wody i kazał iść za myszką, która dobrze zna drogę do piekła. I rzeczywiście spotkał młody Twardowski myszkę, która prowadziła

go wśród różnych pokus, ale Twardowski nie zbaczał z drogi i nawet nie dał się skusić do karczmy. A właśnie tuż za karczmą spotkał dziwnego człowieka, który machnął mu przed oczyma owym cyrografem. Twardowski sypnął mu w twarz garść piasku i diabeł — bo on to był — wypuścił cyrograf z ręki. Wówczas Twardowski chwycił szybko papier i zawrócił do domu, odmawiając po drodze modlitwy.

Ale oto po jakimś czasie podszedł do niego elegancki, na czarno ubrany pan i powiedział:

— Staniesz się potężnym człowiekiem, będziesz mógł zrobić wszystko, co zechcesz, zostaniesz największym w Polsce czarownikiem, ale oddaj mi twój papier, co go masz w kieszeni.

Twardowski dał się skusić i zaprzedał swą duszę diabłu. Postawił jednak warunek: jeśli diabeł zechce wziąć jego duszę, będzie to mógł zrobić tylko w Rzymie. Układ podpisano, a Twardowski myślał:

— Oszukałem diabła, bo przecież nigdy nie pojadę do Rzymu.

I tak zaczęła się zadziwiająca działalność wielkiego czarnoksiężnika — mistrza Twardowskiego.

Był pan Twardowski człowiekiem pełnym fantazji i życzenia nieraz miał dziwne, a diabeł posłusznie spełniał jego zachcianki. I tak na przykład rozkazał diabłu:

— Zebrać z całej Polski srebro, złożyć je pod Olkuszem i przysypać ziemią — tak powstały olkuskie kopalnie srebra.

— Usypać w jednym miejscu dużo piasku — tak powstała Pustynia Błędowska.

— Ustawić wielką skałę cienkim końcem do ziemi — w ten sposób powstała Maczuga Herkulesa w Dolinie Ojcowskiej koło Pieskowej Skały.

— Zalesić nagie góry w ciągu godziny — i tak zaszumiała Puszcza Jodłowa w Górach Świętokrzyskich. Ale diabeł się tu śpieszył i niestarannie wykonał robotę, co widać po goliznach zwanych Gołoborzami.

— Ożywić namalowanego koguta — a gdy diabeł to uczynił, pan Twardowski siadł na niego jak na rumaka i objechał dookoła cały Rynek krakowski.

— Zbudować karczmę z piasku, a w każdym ziarnku piasku ma być wbity gruby gwóźdź. Diabeł spocił się tu okrutnie, ale robotę wykonał.

— Ukręcić bicz z piasku. To już poszło łatwiej, ale gdy pan Twardowski zaczął strzelać z bata musiał robotę poprawić.

— Wbić kilkadziesiąt gwoździ do ziarnka maku. Diabeł sprytnie to wykonał — powiększył ziarnko, powbijał gwoździe i znów ziarnko zmniejszył.

— Przenieść głazy spod Krakowa w okolice Wielunia, to dla diabła nie było zbyt trudne.

— Zrobić w ciągu jednej nocy jezioro. Diabeł zebrał wszystkie chmury w jedno miejsce i spuścił deszcz ogromny. Tak powstało Jezioro Śniardwy, do którego diabeł dorzucił resztę głazów spod Wielunia i można je tam i dziś oglądać.

I tak przy pomocy diabelskiej robił Pan Twardowski różne sztuczki, bawiąc się przy tym setnie i kpił sobie z piekła.

O PIERŚCIENIU KSIĘŻNEJ KINGI

Książę krakowski Bolesław Wstydliwy zapragnął ożenić się z piękną Kingą, córką króla węgierskiego — Beli. Wysłał więc na Węgry posłów z prośbą o rękę królewny. Król Bela zgodził się na zaślubiny i królewna też wyraziła zgodę. Gdy zaczęto mówić o posagu dla panny młodej Kinga rzekła do króla:

— Ojcze, nie chcę złota ni srebra. Daj mi coś, co będzie w moim nowym kraju służyć wszystkim — tak bogatym, jak biednym.

Król Bela zawiózł córkę do kopalni soli, która przysparzała Węgrom bogactwa i powiedział:

— Oto, córko moja, skarb cenny dla wszystkich. Weź go sobie.

Ucieszyła się królewna, że będzie mogła ofiarować Polsce sól, której tam wcale nie było. Ale i zatroskała się bardzo. Bo jak tu zabrać ze sobą ten skarb. I to tyle, by tam dla wszystkich starczyło? Pochyliła się nad głębokim szybem, wrzuciła w jego przepastną otchłań swój złoty pierścień i westchnęła cicho:

— Oby ta sól mogła razem ze mną zawędrować do Polski!

Pożegnała Kinga ojczystą ziemię i wraz z orszakiem posłów wyruszyła w drogę do swej nowej ojczyzny. Po wielu dniach podróży dotarła królewna na Wawel, gdzie odbyły się zaślubiny. Wkrótce po weselu Kinga wraz z księciem udała się w objazd swych nowych ziem. Pewnego dnia orszak książęcy zatrzymał się na odpoczynek w osadzie zwanej Wieliczką. I wtedy Kinga przypomniała sobie o swoim darze dla nowej ojczyzny — o soli. I poleciła sługom kopać w miejscu, które wskazała. Nie trudzili się długo. Już po chwili na ziemi leżała wielka bryła soli. A kiedy ją rozbito, nagle coś błysnęło złociście. Księżna

pochyliła się i — o dziwo! — zobaczyła swój pierścień wrzucony do szybu solnego na Węgrzech.

Raźno kopali słudzy książęcy, a im głębiej sięgali, tym więcej znajdowali soli. I mimo że upłynęło już tyle wieków, w Wieliczce i niedalekiej Bochni wciąż wydobywa się białą sól — dar księżnej Kingi, który służy zarówno bogatym, jak i biednym.

Księżna Kinga dobrze przysłużyła się swym bogatym solnym darem, toteż na zawsze pozostała we wdzięcznej pamięci i legendzie.

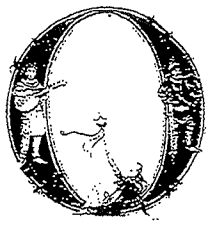

O DZWONIE, KTÓREGO GŁOS ROZLEGA SIĘ NAD CAŁYM KRAJEM

Nad wawelskim wzgórzem królują wieże i baszty, a wśród nich katedralna dzwonnica — Wieża Zygmuntowska, w której wisi najsławniejszy w Polsce dzwon „Zygmuntem" zwany. Sto wołów ciągnęło go wysoko na wieżę, a przyglądali się tej uroczystości wszyscy mieszkańcy Krakowa i okolicy.

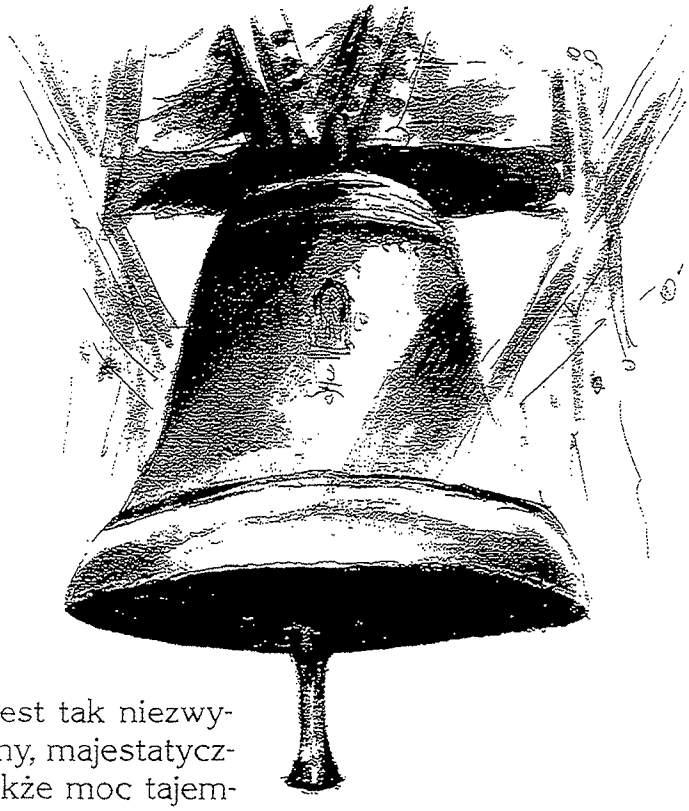

Król Zygmunt Stary kazał go odlać z armat zdobytych w bitwach. Był to król dobry, pokój miłujący i dlatego armaty kazał przetopić na wielki dzwon, którego głos miał zwiastować pokój całemu krajowi.

A gdy dzwon odlewano, dodając do spiżu różne szlachetne metale, nadworny poeta zerwał struny swej lutni i wrzucił je do gorącego, płynnego spiżu. I dlatego właśnie dźwięk „Zygmunta" jest tak niezwykły i czysty, melodyjny i piękny, majestatyczny. Jego donośny głos ma także moc tajem-

ną — rozbija chmury i przynosi piękną, słoneczną pogodę. Dotknięcie serca dzwonu daje szczęście, a dziewczyna, która to uczyni, wychodzi szczęśliwie za mąż. Mówi też stara przepowiednia, że kto ten dzwon zniszczy — źle skończy!

„Zygmunt" odzywa się tylko w wyjątkowo uroczystych chwilach. A głos jego niesie się daleko, daleko...
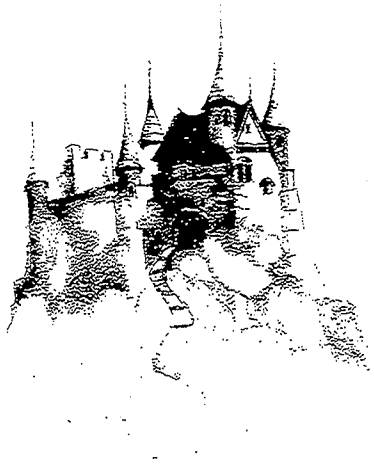
Płynie dźwięk potężny, melodyjny na stary i nowy Kraków, na szczyty Tatr, na Śląsk. Przez pola i lasy dobiega do fal Bałtyku. Tak to Kraków jednoczy w sobie całą naszą ojczystą ziemię.